

# Bohdan Kawecki

---

## Ze wspomnień

---

Colloquia Litteraria 2/7, 111-114

---

2009

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

BOHDAN KAWECKI

## ZE WSPOMNIENÍ

...i Tobie, Juliuszu Osterwo, pionierze zespołowego teatru i nowych metod pracy, przezwycięzaczu starej, paskudnej obyczajowości teatralnej, twórco zapomnianej przez aktorstwo „Reduty”.

*Z Testamentu Stefana Jaracza*

10 maja 1947 roku zamknął oczy na wieki Juliusz Osterwa.

Przenoszę się myślą do dawnych czasów, do Polski, do Wilna.

Jest rok 1925. Gmach teatru na Pohulance odnawiają. Biela, zakładają nową kurtynę, robią schody, łączące widownię ze sceną, nad drzwiami zawieszają nowe tabliczki. Nie loża, lecz „osobnia”, nie widownia, lecz „wizownia”, nie scena, lecz „spełnia”. Zebraliśmy się w foyer na piętrze. Mamy statystować w *Wyzwoleniu*. Długo mówi nam o tym utworze, o Wyspiańskim w ogóle – prof. [Mieczysław] Limanowski. Wyjaśnia, kto był prototypem tej czy innej postaci *Wyzwolenia*, analizuje myśli autora, zapala nas, wywołuje dyskusję. W pewnej chwili przychodzi Pan Juliusz. Nie pan-dyrektor (zamiast dyrektora w Reducie jest Kapituła), a po prostu – Pan Juliusz. Staje wśród nas i zaczyna z nami dyskutować. Nie wygłasza prelekcji, a stara się nas pobudzić do wytworzenia w nas i wypowiedzenia naszych sądów o sztuce. Od czasu do czasu koryguje, naprowadza. Po tym zaczyna się właściwa próba. Pan Juliusz nic nie pokazuje. Jedynie razem z „Limanem” krytykują, tłumaczą, robią wszystko, abyśmy sami zrozumieli. Po paru tygodniach „spełnia” jest już wykończona i próby

tam się przenoszą. Na próby przychodzi często prof. Srebrny, historyk sztuki i kapłan w jednej osobie ks. [Piotr] Śledziwski i inni. I oni też zabierają głos, wprowadzają te lub inne zmiany i innowacje. A i wśród naszych redutowców są przyszli komediopisarze: [Antoni] Cwojdziański, [Jerzy] Zawieyski, [Jerzy] Kossowski, aktor i poeta [Jerzy Ronald] Bujański... Ciekawe próby. Pan Juliusz słucha wszystkich. Nie narzuca niczego. Jest niewątpliwie wodzem, ale wodzem zespołu. On temu zespołowi tylko swą erudycją, swym natchnieniem pomaga. Pomału sztuka nabiera kształtów. Pomału, bo choć próby trwają od rana do późnej nocy, premiera ma miejsce dopiero po pięciu czy sześciu miesiącach, 23 grudnia 1925 r. Rozpoczyna się okres „wileński” Reduty.

\*

Przez cały rok 1926 kilkanaście premier, które Reduta daje, to sztuki wyłącznie polskie. *Przepióreczka* i *Turoń* Żeromskiego, *Wesele* Wyspiańskiego, kilka sztuk Szaniawskiego, *Przechodzień* Katerwy, *W małym domku* Rittnera, *Głaz graniczny* Zegadłowicza (próby z udziałem autora), *Dożywocie* Fredry, *Siostry* Grzymały Siedleckiego (też próby z udziałem autora), *Fircyk* Zabłockiego... Ach, ten Fircyk. Gdy Osterwa wchodzi na scenę... Lecz oddam lepiej głos [Leonowi] Schillerowi: „był to w edycji redutowej człowiek żywcem z epoki stanisławowskiej na scenę przeniesiony, nie kukła w obowiązującej do tychczas manierze stylizowana, nie bufon z rupieciarni starego teatru wyciągnięty. A przecież mówił wierszem – i to jak mówił – wykorzystując aktorsko wszystkie średniówki, dbając o różnorodność końcówek, zamykając tyrazy i dialogi pięknie brzmiącymi kadencjami. A ruchy jego, którym z punktu widzenia realistycznego nic nie można było zarzucić, czyż nie były ciągłym tańcem?”

Ale ja najwięcej lubiłem Pana Juliusza jako Konrada i Przełęckiego. Może dlatego, że tu był sobą, był wodzem, był twórcą. Nie zapomnę nigdy monologu Konrada-Osterwy: „Stróście mi, stróście narodową scenę”, ani tego drugiego: „Nie uwiedzie mnie szept wiślany”. Stałem na scenie tuż przy Panu Juliuszu podczas wygłaszania tego

monologu. Patrzyłem z bliska w jego oczy. Widać było, że wierzył w to, co mówił. Nie udawał, nie „przestawiał”, BYŁ w tym momencie Konradem. A gdy w drugim akcie Konrad się modlił, często oczy pełne łez miał Pan Juliusz, często nie udany, lecz prawdziwy szloch wiersz mu przerywał.

\*

Raz miałem z Panem Juliuszem przykrą przeprawę. Byłem murażem w *Mazepie*. Stoję sobie na scenie z kielnią i muruję, aż tu ktoś zza kulis na mnie syczy. Zerkam w tamtą stronę. A tu Pan Juliusz-Mazepa mnie wymyśla, jak można tak się zapomnieć, tak lekkomyślnie odnosić się do sztuki. Okazuje się, że mam okulary na nosie, rogowy nowomodny okulary, jakich za czasów Mazepy nie tylko murarze, ale i sam król jegomość nie nosił. Wchodząc na scenę zapomniałem je zdjąć. Oczywiście zostają już do końca swej sceny w okularach. Wreszcie schodzę pełen strachu. A to będzie burza. A tu Pan Juliusz podchodzi, całuje mnie w czoło tuż przed nieszczęsnymi okularami. Nie gniewa się już. Dostatecznie przeżyłem na scenie.

I za takie podejście – dobre, ojcowskie, kochaliśmy Pana Juliusza. Nie był, powtarzam, dyrektorem, był Panem Juliuszem.

\*

Inne wspomnienie. Tym razem przyjemne. Próby, a potem przedstawienia *Księcia Niezłomnego* odbywały się przy świetle pochodni w nocy, na podwórze uniwersyteckim przed frontonem kościoła św. Jana. Pan Juliusz mieszkał przy Zakrętowej, ja przy Lubelskiej, więc często do domu nad ranem wracaliśmy. Pewnego razu na propozycję Pana Juliusza zboczyliśmy trochę z drogi i wstąpiliśmy na cmentarz luterański przy Małej Pohulance. Był akurat wschód słońca. Siedzieliśmy na płycie grobowej koło pomnika Wawrzyńca Puttkamera, męża Mickiewiczowskiej Maryli. Może to myśl o Adamie, a może nastrój chwili – wschód słońca, świergot ptasząt, zapach kwitnących bzów – sprawiły, że Pan Juliusz rozmarzył się i zaczął improwizować. Nie wierszem, lecz cudną prozą. Rósł tam rozłożysty dąb,

a tuż obok powiewała listkami wiotka brzoźka. I właśnie o tym dębie i brzozie począł Pan Juliusz mówić. O męskości dębu, o kobiecości brzozy. Gdy skończył, nie mówiliśmy już nic. Milcząc poszliśmy w kierunku domu. Milcząc pożegnaliśmy się. Był to najpiękniejszy monolog, jaki w życiu słyszałem.

\*

Moja pierwsza samodzielna rólka. W *Diabie i karczmarce* [Stefana Krzywoszewskiego]. [Wanda] Osterwina, występy [Ludwika] Solskiego, [Ireny] Solskiej, [Marii] Dulębianki... Nie, o tym innym razem. Dziś tylko o Panu Juliuszu. Twórcy, jak Jaracz mówi, zapomnianej przez aktorstwo Reduty. Nie. Nie jest tak źle. Raz po raz dostaję z Kraju książki o teatrze. Dużo w nich się o Panu Juliuszu mówi. Pochwały i... krytyki. Pochwały: choćby taki Zelwerowicz. „Wielkie pomnikowe dzieło, które stworzył Osterwa i które odegrało, odgrywa i przez długie lata odgrywać będzie wielką rolę w historii teatru polskiego”. I krytyki. Mniejsza z nimi. Niedawno, pisząc o Grzymale [Adamie Grzymale-Siedleckim], wykazałem ich bezpodstawność. Zresztą właśnie one dowodzą, że Osterwa coś dla teatru zrobił. Wętknął kij w mrowisko, poruszył szablony, napiętnował tak zwany przez niego publikotropizm (kokietowanie widowni efektami pobudzającymi ją do oklasków), zerwał z systemem gwiazdorów, podszedł do teatru, jak do „przedsięwzięcia”, a nie jak do „przedsiębiorstwa”, pozostawił po sobie ideę teatru zespołowego, teatru nie udawanego lecz przeżywanego, teatru, gdzie się naprawdę „spełnia”.

Cześć twej pamięci, Panie Juliuszu.